



Nad wodą.

Fot. WOJŚLAW BRYDAK

Głupi Moniek siedł między domami, koło murów się snuł jak cień, z bramy do bramy skakał, oczy mu biegały nieprzytomnie, ludzi unikał, ponieważ oni nie lubili go za bardzo: — Po co to żyje — powiadali — po co zabiera powietrze, tylu porządnych mężczyzn ginie na froncie, a ta niedojda, ten pomiot bękarci wciąż po świecie chodzi i nieszczęście tylko przynosi, i kiedyś — zobaczycie kochani

upadł na ziemię, ale zanim upadł, sunął plecami po murze, zjeżdżał na plecach z tego muru patrząc na nas szklanym wzrokiem i moja babka nie wytrzymała tego spojrzenia, i chwyciła mnie za rękę: — Chodź synku, tak nie wolno, to grzech, ja dużo śmierci widziałam, lecz na taką nie chcę patrzeć...

I właśnie od tego dnia jeszcze bardziej zacząłem wierzyć w Mońka; ten wypadek utwierdził mnie w

ta powiada, że będzie gość, to na pewno on. Nie ma żadnej choroby, karta mówi co innego: wiadomość jakaś, list w drodze...

Umiałem na pamięć te wszystkie pytania i odpowiedzi. Często bowiem leżałem w krzakach bzu rosnących pod jej oknami, słuchając... Te pytania i odpowiedzi tak bardzo były podobne do siebie, iż zacząłem posadzać ją o szachrajstwo. Ale ludzie mówili, że ta wróż-

ADAM JANUSZ BIEN

ZABILI NAWET WRÓŻKĘ

Fragment opowiadania

— spala nas za niego, do obozów wywożą. Oświęcim lub Majdanek, może więc lepiej zwać go jak psa albo skapować, powiedzieć żołnierzom co i gdzie, a żołnierze zrobią już z nim co zechcą.

Tak mówili ludzie w naszym mieście i chyba zrobiliby to, o czym myśleli, ale Moniek nie był całkiem głupi, kilka klepek zostało mu jeszcze w głowie i czuł, co pachnie w powietrzu, i krył się, i nocą jedynie wychodził na żer jak dziki kot; oczy mu świeciły, a on biegał, szukał, lecz o żarcie było coraz trudniej, skórki chleba w śmietniku nawet nie znalazł, bo wszystko zjedzone, wylizane do czysta, nikt zimą nie sypie ptakom okruszynę, ceni się teraz każdą skórkę, każdy okruszek, ptaki zdychają z mrozu i głodu, no a wiosną — gdy nadejdzie — wcale nie jest lepiej, pola jeszcze czarne, spod śniegu dopiero wylażą, chleb drogi jak złoto i dopiero latem nieco lżej, bo ziemia zaczyna rodzić, jednakże niewiele to daje Mońkowi, który musi się kryć, aby nie umrzeć. I nikt nie wie, gdzie on mieszka; nikt nie wie, gdzie śpi; chyba diabeł mu pomaga — mówią ludzie — ponieważ inaczej tego zjawiska wytłumaczyć nie można.

Kiedy przedtem widziałem Mońka, ludzi postawili pod murem; głupi Moniek waleśał się w tłumie stojącym milcząco na rynku, a tamci spod muru ratuszka spoglądali na nas i mieli zdziwione miny, i cisza panowała, żołnierze tylko szwargotali, a potem oficer wydał rozkaz, podniesiono karabiny i wtedy ktoś krzyknął: Niech żyje... — tylko nie wiem co... tylko nie wiem; kto miał żyć... bo tamten nie dokonał, urwał zachwiał się na nogach,

moich przekonaniach. Wiem, że to trochę śmieszne, bo wy, ludzie, wierzyście w najrozmaitsze wróżby: w pasjansa, w papugę, co wyściągają szczęśliwy los, i w pajaki, których nie wolno zabijać, i wierzyście również w inne rzeczy, jak na przykład mój kumpel w powrót swego ojca, a ja... wiara, którą miałem, zabijana była systematycznie, dużo można byłoby mówić na ten temat, lecz nie będę głądził, powiem tylko jedno: od czasu, kiedy rąbnęli wróżkę w sam brzuch, moja wiara stopiła się jak zeszlorny śnieg. Przedtem jeszcze sądziłem, że ojciec przyjedzie, że matka się odnajdzie, teraz nie myślę o tym, i tylko czasami zastanawiam się dlaczego tak się stało, dlaczego zabili nam wróżkę?...

Po tym wydarzeniu moja babka bardzo się załamała, śmiałem twierdzić, że bardziej aniżeli ja sam. Ta wróżka bowiem była jej koleżanką; razem chodziły na nieszpory, wspominały dawne czasy, jak to się żyło na Podolu i w ogóle. Obecnie babka została sama, ze mną jedynie, tamtej już nie ma, bo zastrzelili ją w biały dzień jak hycel wściekłego psa.

Mieszkała naprzeciwko. Domek miała podobny do naszego, drewniany na podmurówce, pożydowski; obok domku znajdował się ogród z polanym płotem i ona upadła właśnie na ten płot i wisiała na nim... a przedtem, gdy jeszcze żyła, przychodzili do niej ludzie z całego miasta zadając jej pytania: „Kiedy to się skończy? Czy on wróci? Nie nie pisała ostatnio, może jest chora? Biały koń śnił mi się w nocy, co to ma oznaczać, proszę pani?” Odpowiadała im: „Koniec wkrótce nastąpi. Kar-

ka jest dobra, że jej wróżby zawsze się sprawdzają. I pewnego razu — w dzień pochmurny i smutny, kiedy czarna rozpacz coraz bardziej mnie ogarniała — postanowiłem wyrwać się z krainy niewiedzy, bo lepsza najgorsza wieść niż pełne napięcia oczekiwanie... Poszedłem do niej i zastałem ją siedzącą przy stole, układała karty.

— Dzień dobry! — powiedziałem. — Czy mogłaby pani na kredyt albo pod zastaw?

Nie podnosząc oczu znad stołu, nie przestając tasować swoich kart, zapytała o co mi chodzi, czego jej

(Ciąg dalszy na str. 2)

RYSZARD BILSKI

MIASTECZKO NAD SANEM

Różnokolorowe linie, każda składająca się z innych „elementów” biegną prociuteńko ze Stanów Zjednoczonych, dalekiej Afryki i wielu jeszcze innych odległych od Polski o setki, a nawet tysiące kilometrów państw do... Dynowa, obrazują kontakty tego miasteczka ze światem. Doprawdy, aż trudno uwierzyć. Tyle powiązań i to nie tylko dzięki znanemu za granicą dynowskim kopytom. Autorów wspomnianej mapy — harcerzy — interesowała także wymiana korespondencji; przy tej okazji odkryli, że do Dynowa przychodzą listy aż z jakiegoś małego państwa azjatyckiego od pracownika polskiej placówki dyplomatycznej. Wygląda na to, że Dynów jest bardziej znany za granicą niż w województwie.

Legenda tej niecodziennej mapy jest obszerna. Jedną z linii oznacza np. eksport koszyków z dynowskiej wielobranżówki. Konkurencja Rudnika, i kto by pomyślał, że do Ameryki jak woda idą kosze, których dawniej używali tutaj rolnicy do siewów.

Przed rokiem prasa centralna zrobiła wokół tego miasteczka trochę szumu, rozgłosu — powiedziałbym na wyrost. Dziennikarze rozpisali się na temat wspaniałego położenia Dynowa (w połowie drogi Sanem między Sanokiem a Przemyślem) i zamierzonej budowy przystani. Pisali widać bardzo przekonująco, bo w tym roku kilku turystów aż z Gdańska przyjechało nad... dynowską przystań. Spotkało ich niezbyt miłe rozczarowanie. Szkoda, że nawet i pogoda zawiodła. Jedyną rekompensatą był niewielki, prowizoryczny, drewniany „budyneczek” wzniesiony nad Sanem w tym celu, aby plażowicze nie musieli kucać za krzaczkami.

HARCERSKIE DZIAŁANIE

Kto wie, jak długo budowa przystani byłaby w sferze marzeń i projektów, gdyby nie wzięła się zań nauczycielka miejscowego liceum — Bronisława Krasiczyńska.

— To moje zadanie numer 1 — mówi o przystani Sądze, że budowę można by rozpocząć jeszcze w tym roku. Plany, które rodziły się w dużych bólach, ciągle coś się komuś nie podobało i trzeba było robić aż 3 projekty, są już wreszcie gotowe. Niezmordowany inżynier Kasprowicz wykonał je bezinteresownie, podobnie jak założenia elektryczne inż. Góra.

Przystań to chyba zbyt skromne określenie dla tego, co zamierzają wzniesić nad Sanem dynowianie. Oprócz bowiem wypożyczalni kajaków, schowków na sprzęt sportowy, kawiarni mówi się także o niewielkim hotelu. A więc jak dobrze pójdzie już wkrótce Dynów wzbogaci się o elegancki wodny motelik,

Skąd tyle zaufania i pewności, że jeśli Krasiczyńska... to już przystań nabiera realnych kształtów. Utało się przekonanie, że ze swymi harcerzami wszystko może, do czego się weźmie, robi, nie zawiedzie. Gdy się bliżej przyjrzy pracy tej „rzeczypospolitej harcerskiej” trudno zorientować się kto tu daje pomysły, inicjuje. Wiele spraw, które przez lata drzemały odkryli harcerze, podpowiedzieli „swojej pani”, Zresztą nie o to chodzi, kto pierwszy coś wymyślił, podał projekt. Fakt jest niezaprzeczalny, że wiele zrealizowanych inicjatyw wyszło właśnie od harcerzy, którzy urządzili w Dynowie m. in. ogródek jordanowski, uporządkowali park, a wkrótce przystąpią do zakładania nowego terenu zielonego. Można chyba bez większego ryzyka powiedzieć, że dzięki harcerzom zaczęło się w tym mieście mówić o estetyce, zaczęto je porządkować, a nawet upiększać. Mało kogo już dziś nie drażni stojąca w centrum miasta rudera, brudne i zaśmiecone ulice i chodniki, zaniedbane zieleńce itp.

Bliskie są harcerzom sprawy gospodarcze i kulturalne miasta. Podczas jednego ze spotkań przedwyborczych, w którym uczestniczyła posłanka Maria Augustynowa, „zastydził” starszych mieszkańców swymi wystąpieniami głęboko przemyślanymi i trafnymi. Co jakiś czas mówi o dynowskich harcerzach, że to oni pierwsi w kraju... stawia się za przykład itd. Może ogrom potrzeb miasteczka rodzi tyle inicjatyw.

Oto jeden z przykładów. Rokrocznie powtarzały się w Dynowie kłopoty ze znalezieniem dla dojeżdżającej młodzieży stacji. Harcerze postanowili pomóc swoim kolegom. Przeprowadzili setki wywiadów i sporządzili wykaz stacji odpowiadających stawianym przez władze szkolne wymogom. Wychodzą w swych inicjatywach również i w przyszłość. Przewidują, i chyba słusznie, że z chwilą wybudowania w Dynowie przystani znacznie rozwinie się ruch turystyczny i dlatego już obecnie przystąpili do wyznaczania i opracowywania szlaków turystycznych.

WALCZYK STRAŻACKI

Gdyby wszystko w Dynowie tak ładnie czystością i było niezawodne jak samochody strażackie i motopompy — wątpliwe czy znalazłoby się w województwie drugie miasto. Choć już nie pierwszej młodości, są dobrą wizytówką dynowskich strażaków, a straż przygotowująca się obecnie do setnego jubileuszu — jest wizytówką miasta. Słyną straż-

(Ciąg dalszy na str. 2)



Zniewa.

Fot. HALINA VOGIEL

Zabili nawet wróżkę

(Ciąg dalszy ze str. 1)

przeszkadzam, co właściwie mam do sprzedania?

Powiedziałem, że nic. Powiedziałem, że chcę sobie powróżyć. I wtedy spojrziała na mnie, uśmiechnęła się: Dobrze — rzekła — możemy...

— Po wojnie pani zapłacie.

Machnęła niecierpliwie ręką: Nie trzeba, synku, sąsiadami przecież jesteśmy. Rozłożyła na stole karty. Patrzyłem na jej zwinne palce i drgnąłem nagle, bo z talii kart wypadła dama, serce miała czerwone jak krew. Wróżka zapytała: Czego chcesz się dowiedzieć?

— Czy ona wróci...

— Kto?

Przeknąłem nerwowo ślinę:

— Matka.

— Tak — powiedziała.

— A ojciec?

— Też.

I teraz zadałem pytanie najważniejsze: Kiedy?...

— Karta nie mówi, karta milczy, karta nie chce powiedzieć, tajemnica, zaraz... aha, ten przyjazd będzie niespodziewany, już niedługo, bądź dobrej myśli, czeka cię przyjemna wiadomość, będziesz miał dużo pieniędzy, a oni oczywiście wrócą, sprawią ci niespodziankę...

Od tej chwili budziłem się zawsze z wielką nadzieją w sercu. I chociaż już nie spałem, nie podnosiłem się z pościeli, nie otwierałem oczu, bo myślałem sobie tak: zaraz zobaczę mamusię koło siebie i zobaczę ojca, wróżka przecież mówiła, jej słowa muszą się sprawdzić i może on już są, może przyjechali nocnym pociągłem, siedzą obok mego łóżka, przywieźli mi biały chleb... A potem, gdy nacieszyłem się swoją radosną myślą, podnosiłem nagle powieki i zamiast zobaczyć mamusię koło siebie, zamiast zobaczyć ojca — widziałem jak babka sika do blaszanego nocnika, który sama sobie zrobiła ze starej puszki po konserwie. Na Podolu był elegancki klozet — mówiła — przekleństwo ta wojna!

No i nie przydarzyła mi się w życiu żadna niespodzianka. Wróżkę tylko rąbnęli i babka została sama, nie ma z kim pójść na nieszpory, nie ma z kim pogwarzyć sobie o tym Podolu, bo mnie nic nie obchodził jakieś tam Podole, jeśli mi się chce, o przyszłości raczej myślę, gdyż przeszłość minęła i jest już poza mną, więc zastanawiam się, czy będzie kiedys chleb, masło i sól... A babka — nie umiejąca wybiegać myślą tak daleko jak ja — rozpacza: — Taka zacna kobieta z niej była — mówi — taka pobożna i uczciwa, najżyczliwsza sąsiadka ze wszystkich i nie

dali jej żyć, łotry przekłete, zabili!

W sam brzuch dostała. Chyba z maszynowego, bo zaterkotało nagle, a potem cisza. „Zostań! — krzyknęła wtedy babka. — Nie wychodź!” Nie posłuchałem, byłem już na podwórzu; czyżby partyzanci — myślałem spoglądając w stronę lasu i oczy przysłoniłem ręką, gdyż słońce oślepiło. Ale pod lasem panował spokój: kozy pasły się na łące, jastrząb krążył nad drzewami, ptaki śpiewały jak zawsze. I dopiero po chwili spostrzegłem tę kobietę, leżała pod płotem w kałuży krwi. „Rąbnęli ją”, szepnąłem i moja babka, która jest głuchawa, nie zrozumiała co mówię. „Nie słyszę — rzekła. — Proszę powtórzyć”.

— Rąbnęli ją — krzyknąłem — z maszynowego!

I babka bardzo się zdziwiła: — Co, jak kogo? Co ty wygadujesz, Marcuszu...

— Wróżkę zabili.

— O Jezusie... — jęknęła. — Jezusie najśłodszy... — i mimo swej starości, mimo podagry, która ją męczyła, zaczęła biec, dopadła pod ten płot, schyliła się nad leżącą, rzekła: Sąsiadko, odezwijcie się, sąsiadko...

A głupi Moniek skradł się między domami. Dojrzałem go, chociaż był bardzo ostrożny i kiedy zauważył mój wzrok, skoczył zaraz w krzaki. To on — powiedziałem do siebie — tylko on wie, że coś się stanie, że kogoś zastrzelą lub powieją, on chyba mądrzejszy jest od wróżki, skoro żyje, a tamta była durna, bo mogła wyczytać wszystko z kart i wcale nie musiała umrzeć.

Mój kumpel, pyzaty chłopiec z sąsiedniej ulicy, był tego samego zdania: — Masz rację — powiedział — gdybym ja był wróżką, to bym zwiął...

— Dlaczego tak nie postąpiła?

— Cholera wie...

— A może właśnie wiedziała, może karty jej wywróżyły?

Nie wiadomo. Bo ona nie już nam nie wyjaśni, leży, milczy, wkrótce zakopie ją w ziemi i nikt nie dojdzie teraz prawdy, ona nie odpowie na żadne pytanie, gdyż przesypane ją piachem, posadzimy na niej kwiaty.

Od tego zdarzenia przestałem właśnie wlezyć. Nie ma czarów — myślałem — nie ma wróżek, są tylko karabiny, bomby i granaty, które rozwalają za jednym zamachem najmocniejsze domy i najsłabszych ludzi.

Powiedziałem o tym Pyzatemu, a on jedynie głową skinął i nie musiałem go wcale przekonywać, natomiast ten, z którym grzeballiśmy wróżkę, ten duży, co mu się już

was pod nosem syplę, wzruszył ramionami: — Nieprawda! Chciał mi coś jeszcze powiedzieć, lecz rozmyślił się widocznie, machnął z rezygnacją ręką: Nie rozumiesz tego i tak... Potem wziął łopatę i odszedł na bok, usiadł w cieniu krzewów. Wtedy nachyliłem się do Pyzatego:

— Ej, gruby, słuchaj no!

— Co jest?

— On płacze.

— Kto?

— Sławomir.

— Stuknął się boleśnie w kostkę?

— Nie — rzekłem — on nie płacze z powodu fizycznego bólu, on płacze za tą wróżką, że ją zastrzelili, bo oni mieli ze sobą jakieś tajemnice, konspiracja czy coś... całowali się, jak Boga kocham, widziałem przez okno. Patrz, jak beczy!

— Taki duży chłop! — zdziwił się Pyzaty. — Kto by pomyślał! Czekaj, zobaczę z bliska.

— Lepiej zostań — rzekłem. — On jest nerwowo. Zresztą już idzie.

Kiedy zaś Sławomir podszedł do nas, zapytałem: Panie Sławek, krzyż dajemy?

— Jak chcę.

Daliśmy krzyż, bo to zawsze przyjemniej dla oka. Potem zmówiliśmy pacierz i każdy wrócił do swoich zajęć, każdy z nas poszedł do swego domu.

Babka jeszcze płakała: Taka zacna — mówiła — taka dobra, cnotliwa i pobożna, i nawet bez księdza... Babka to ma wymaganą! Jeszcze przedwojenne. Bo skąd ja wezmę księdza. Z całej parafii organista tylko został, księża gdzieś się zapodzielili, ostatecznie można było pogadać z tym organistą, ale ludzie twierdzą, że on się boi, że nosa z mieszkania nie wychyla czekając aż trochę przychynie. Tymczasem jest na odwrót, nie ma spokoju na świecie: głupi Moniek gania po ulicach jakby się wściekł, na wschodzie grzmi, lunę widać wieczorem, palą się wioski i miasta, ludzie patrzą w tamtą stronę i mrugają do siebie porozumiewawczo okiem: Kurcze już idą, tamci kaput. A żołnierze, którzy przegrywają wojnę, są teraz jak osy, jakieś głupstwo, jakieś byle co i zaraz kulka w łeb zupełnie bez powodu, jak na przykład z wróżką. Nikt nie wie za co ją rąbnęli, jedni mówią, że za radio, drudzy, że była w partyzantce, trudno dociec prawdy. I sądzę, że chyba Moniek tylko wie, on jeden — mimo że głupi — umiałby mi wyjaśnić śmierć wróżki i może odpowiedziałby na pytanie: dlaczego?...

Bo tak zwani normalni ludzie nie dają mi żadnej odpowiedzi, która mogłaby mnie przekonać i zadowolić. A on, Moniek, był naczynym świadkiem, widział, jak ją mordowali, gdyż skradł się wtenczas przez ogród, lecz ja go zauważyłem i później, już w domu, nie mogłem długo zasnąć, ponieważ wciąż stali mi przed oczyma: on, głupi i nieszczęśliwy, i ona: ta kobieta, jej czerwony brzuch, gole nogi, wysoko zadarta spódnica. I widziałem również Sławomira, który płakał. Jego płacz w końcu mnie wzruszył. Przyniosłem mu wiadro wody. Pij pan, panie Sławek, zimna woda dobrze robi, przestanie pan szlochać i czkawka panu minie. „Spieprzaj”, krzyknął, a gdy ją zakopaliśmy, zacząłem myć ręce, szorowałem je pół godziny, bo wydawało mi się, że cuchną trupem, i leżąc już w łóżku nie mogłem zasnąć, wciąż myślałem o tym wszystkim i sen miałem krótki, nerwowy, budziłem się co chwila, babka gadała przez sen wołając po imieniu dziadka, pewnie znów śniło się jej Podole, jutro będzie mi o nim opowiadać, trzeszczy łóżko, przewracam się z boku na bok, słoma szeleści w sienniku, coraz gorzej — myślę — do czego to jeszcze dojdzie, skoro wróżkę nawet zabili, ale ona była chyba bardzo głupia, przecież karty mogły jej powiedzieć...

ADAM JANUSZ BIEN

Po festiwalu w Kudowie

22 lipca zakończył się IV doroczny Festiwal Moniuszkowski w Kudowie. Z tej okazji warto przypomnieć, że w ciągu minionych czterech lat muzyki moniuszkowskiej słuchało na festiwalach blisko 100 tys. osób, co potwierdza celowość imprezy, jedynej popularyzującej masowo muzykę twórcy polskiej epery narodowej.

Największą chyba atrakcją programu festiwalu jest wystawianie znanych oper — „Straszny dwór”, „Halki” i „Parii” w malowniczej scenarii kudowskiego parku zdrojowego w wykonaniu artystów czołowych scen operowych Polski.



Dziewczyną

Fot. J. LIGĘZA

Miasteczko nad Sanem

(Ciąg dalszy ze str. 1)

zący ze swych umiejętności; legitymują się wieloma dyplomami, nagrodami, ale nie tylko sprawność zawodowa decyduje o ich pożytecznym działaniu dla Dynowa.

Przez ponad 20 lat bez rozgłosu, ale systematycznie prowadzą zespół teatralny. A dopiero przed rokiem spotkał ich sukces na skalę wojewódzką; wyróżnienie, przychylna recenzja, słowa uznania, zaproszenia na występy. Wszystko to zachęciło ich do jeszcze większego wysiłku.

Pierwszy teatr strażacki w Dynowie powstał jeszcze przed wojną. Ale jego najlepsze lata zaczęły się wówczas, gdy zespołem zaopiekowała się Janina Juraszewska. Zadecydował o tym właściwie przypadek. W liceum wystawiano przez tamtejszy zespół — „Imieniny pana dyrektora”. Były trudności z obsadą „dorosłych” ról. Wypożyczono więc kilku strażaków (z zespołu) i nie bardzo kwapiła się Juraszewska... ze zwrotem długu. Dynowskim targiem zgodziła się wówczas prowadzić teatr strażacki, a młodzież z zespołu szkolnego mogła od tej pory korzystać dowolnie z nowego, ale, niestety, do dziś nie wykończonego domu strażaka.

Z repertuaru teatru strażackiego znikły okliwe, mało wartościowe sztuczki. Teatr jest, używając modnego obecnie określenia, zaangażowany, cechuje go ponadto aktualność i dążenie do zaspokojenia coraz wybredniejszych gustów dynowskiej publiczności.

Oto np. najbliższą premierą, którą uczczą strażacy swoje stulecie będzie „Czarowna noc” Mrożka. Czy sobie poradzą z obsadą — zapytałem. Sztuka, jak wiadomo, jest trudna. Dialogi długie, każde słowo — u Mrożka — ważne. W odpowiedzi otrzymałem listę osób, których uzdolnienia aktorskie gwarantują poziom spektaklu. Najdłużej zatrzymała się pani Juraszewska przy nazwiskach Stanisława Kostura i Zygmunta Chudzikiewicza.

Mimo ogromu sympatii dla strażaków, uznania za teatr, orkiestrę dętą, niestety, nie mogą przyznać, że to co oni nazywają świetlicą, jest nią rzeczywiście. Pomieszczenie i trochę sprzętu to jeszcze za mało, liczy się przecież przede wszystkim praca i to nie od przypadku do przypadku. Być może, kłopoty finansowe ograniczają działalność świetlicy. Trudno zrozumieć dlaczego nie zrealizowano bardzo sensownej propozycji stworzenia w Dynowie świetlicy międzyzakładowej? Podobno wiążące decyzje w tej sprawie zapadły na jednym z posiedzeń komisji kultury Prez. MRN.

Niedawno przeniesiono do porządnego lokalu czytelnię. Mieści się ona razem z biblioteką. W znacznym stopniu zaspokaja kulturalne, a przede wszystkim oświatowe potrzeby mieszkańców. To prawda, lecz i o klubie też nie wypada zapominać, tym bardziej, że można go urządzić we wspomnianym domu strażaka.

Była kiedyś w Dynowie kawiarnia. Niestety, zamknięto ją wcześniej niż dynowianie przyzwyczaili się do picia kawy. Kawiarnia okazała się deficytowa. Znalezione więc najprostsze, lecz czy najwłaściwsze wyjście z sytuacji?

Mówi się, że pierwsze spojrzenie jest najostrożniejsze, a wnioski trafne. Czy zawsze? Z początku skłonny byłbym porównać losy Dynowa np. do perypetii Sokolowa, którego mieszkańcy tak rozgniewali się na „żarliwy” powiat (Kolbuszowa), że starali się nawet o zmianę przynależności administracyjnej. Ile by to pomogło, nie wiem. Podobnie i dynowianie czują się pokrzywdzeni, że wszystkie pieniądze zostają w Brzozowie, tam się buduje nowe bloki, zakłady pracy, a w Dynowie prawie nic. Jak na śmiech — mówią — wybudowano w samym centrum jeden nowy blok, który „gryzie” się z resztą miasta, nie pasuje do otoczenia. Plany oczywiście były ambitniejsze, lecz realizacja napotkała przeszkody, i tak ze wszystkim — uogólniają pesymiści. Lecz na przekór im trudno nie dostrzec (może to przywilej pierwszego spojrzenia) nowego. Buduje się przecież nową szkołę, szpital, rośnie produkcja spółdzielni wielobranżowej, planuje się znaczne jej poszerzenie o nowy asortyment — części do wag.

Patrioci Dynowa nawet i ci, którzy związani są z miastem nakazami pracy sprzed dziesięciu lat, widzą w perspektywie inny obraz miasta. Stawiają na turystykę. Czy daleko na tym turystycznym koniku zajadą i czy dużo złotych przypłyne Sanem do Dynowa, przewidzieć dziś trudno. Inicjatywa wydaje się jednak interesująca, a co najważniejsze — poparta jest uroczym położeniem Dynowa. Już dziś mimo nawet skromnego zaplecza turystycznego, odwiedzają to miasto rzesze wodniaków.

RYSZARD BIŁSKI



MARIAN ZIEMSKI „Chłopska troska”.

Fot. A. HADAŁA



EMIL SAJDAK
RUDOLF PIETRZYK

X WIEKÓW CEDYNI

Miejscowości na Pomorzu Zachodnim, związane z historycznymi walkami Polaków z niemiecką zabobrością i ekspansją na wschód, jak Cedynia oraz te, leżące wzdłuż biegu Odry, w rejonie Sławkowa — są jak gdyby symbolicznie związane w podwójny sposób z istnieniem naszej państwowości.

Od wydarzenia — jakie miało miejsce pod Cedynią — owego teatru wojen z Niemcami, zależały w pewnej mierze narodziny i losy naszego narodu; podobnie później, prawie po dziesięciu wiekach rozegrały się w jej pobliżu znamienne wypadki wojenne, które między innymi zdecydowały o ostatecznym zwycięstwie nad hitleryzmem, a w konsekwencji czego — o odzyskaniu niepodległości i powrotu Ziemi Zachodnich do macierzy.

Cedynia leży w województwie Szczecin, pow. Chojna, przy szosie biegnącej z Gryfina do Sławkowa i przy ujściu Warty do Odry.

Bitwa Mieszka I z Niemcami pod Cedynią w roku 937 została historycznie opisana przez kronikarza niemieckiego Thietmara - Dytmara (biskupa merseburskiego, który żył w latach 975 — 1018), na podstawie wspomnień ojca Zygryda, uczestnika tej walki. Należy podkreślić, że najwcześniejsze kroniki, jako dokumenty historyczne powstania zębów naszej państwowości, biorą między innymi swój początek właśnie od Thietmara, autora kroniki współczesnej, będącej jednym z najważniejszych źródeł do czasów Bolesława Chrobrego.

W owym okresie Otton I sprawował władzę cesarską w Niemczech. Latem 927 r., kiedy Otton przebywał we Włoszech, margrabia Marchil Wschodniej Hodo, następca Gerona (ówcześnie największy wrogiem polskości), wykorzystując okazję nieobecności cesarza, z niezwykłym poświęceniem zebrał wojsko i ruszył na wschód. Wyprawa miała zapewne przeszkodzić Mieszkowi w jego poczynaniach na Pomorzu Zachodnim. Margrabia nie uderzał prosto na wschód, ku Gnieznu i Pomorz, lecz śpieszył w kierunku ujścia Warty, całkiem jakby chciał zabić drogę komuś, kto ciągnął z Polski na północny-zachód. Władca Polski siałął bowiem po Szczecin i Wolin, zamieszkałe przez ludy zachodnio-słowiańskie.

Dnia 24 czerwca pod Cedynią, doszło do pierwszej znaney w dziejach bitwy Polaków z Niemcami. O losach jej rozstrzygnął manewr rezerw prowadzonych przez brata Mieszka, Czcibora — zwycięstwo Polski było zupełne. Z rycerzy niemieckich Hodo i Zygryd wyszli obronną ręką. Wkrótce po tym zwycięstwie z Italii nadbiegli gońcy cesarscy, Otton I bowiem wzywał Mieszka i Hodona, „aby pod rygorem utraty jego łaski zachowali pokój do czasu, gdy przybędzie na miejsce i osobiście zbada sprawę”. Tak napisał Thietmar. Można przypuszczać, że wspomnienia ojcowskich przędów pod Cedynią budziły w nim niechęć i złość ku Po-

lakom. Na Wielkanoc 973 r. cesarz rozpatrzył sprawę osobiście i Mieszko I został wezwany do Kwedlinburga przed jego oblicze oraz zmuszony do oddania na dwór niemiecki swego pierworodnego syna z małżeństwa z Dąbrówką jako zakładnika. Tym pierworodnym synem był Bolesław, zwany później Chrobrym i Wielkim...

Kilka lat później spór o Pomorze został definitywnie rozstrzygnięty, kolejna bowiem niemiecka wyprawa na Polskę w roku 979 nie udała się i ta weszła ostatecznie we władanie całym wybrzeżem od Szczecina aż po Gdańsk.

W około 1000 lat później, w lutym i marcu 1945 r., 1. Armia walczyła na Wale Pomorskim — silnie umocnionej rubież nieprzyjacielskiej, rozbudowanej przed 1939 r. jako punkt wyjścia do najeżdzu na Polskę. Działając w bardzo trudnych warunkach, w lesistym i bagnistym terenie, w którym przesmyki między licznymi jeziorami i wszystkie przejścia zamknięte były silnymi żelbetowymi umocnieniami, dywizje polskie zniżyły kolejny pas przesłaniania, rozbudowaną pozycję główną, a na początku marca — umocnioną pozycję ryglową i wzięły udział wraz z wojskiem radzieckim w okrazeniu i likwidacji czterech dywizji hitlerowskich. W walkach na Wale Pomorskim 1. Armia wzięła do niewoli około 9.000 żołnierzy hitlerowskich, zdobyła 437 karabinów maszynowych, 132 moździerze, 195 dział, 8 czołgów, 1.000 samochodów.

W dniach 8—13 kwietnia 1945 r., po przekazaniu obrony Wybrzeża wojskom 2. Frontu, 1. AWP wykonała nocami 200-km. przemarś nad Bałtyku, skoncentrowała się nad Odrą w masywie leśnym Stare Lysogórki i zluzowała jednostki Armii Radzieckiej. Nocą z 14—15 kwietnia 1945 r. jednostki lewego skrzydła 1. AWP przeprawiły się na przyczółek radzieckiej 47. Armii w rejonie Gozdowic. Obrona niemiecka była silnie rozbudowana. Prace nad nią prowadzono intensywnie przez 2 miesiące. W pasie natarcia 1. AWP działało około 18 baterii i moździerzy. Codziennie lotnictwo nieprzyjaciela dokonywało 50—100 nalotów grupami po 2 do 10 samolotów.

Odcinek Stara Rudnica, Stare Lysogórki zajęły 1. DP i część 3. DP. Na przyczółku znalazły się części 2. DP i 3. DP. Stanowiły one pierwszy rzut armii, w skład drugiego rzutu wchodziły 4. i 6. DP, obwód stanowiła 1. Brygada Kawalerii. Na prawo forsowała Odrę Radziecka 61. Armia, na lewo 47. Armia Radziecka. Główne uderzenie 1. AWP wykonały siły nacierające z przyczółka przy współdziałaniu z 47. Armią.

16 kwietnia 1945 r. po przygotowaniu artyleryjskim i lotniczym, o godz. 5.45 1. DP rozpoczęła forsowanie Odry w rejonie Sławkowa. O godz. 6.15 ruszyły do ataku z przyczółka 3. DP i część 2. DP skierowując uderzenie w skrzydło broniącego się nieprzyjaciela.

W wyniku zwycięskich walk 1. AWP już w pierwszym dniu działań sforsowała Odrę i na prawym skrzydle przełamała pierwszą pozycję obrony nieprzyjaciela, a na lewym, pierwszą i drugą. Umożliwiło to powodzenie w dalszej walce. Wkrótce na początku kwietnia, gdy żołnierze Armii Radzieckiej za cenę niemałych ofiar kończyli dzieło oswojenia ziem polskich między Bałtykiem a Sudekami, żołnierz polski objął w posiadanie zachodnie ziemie polskie i wytyczał nową granicę Polski na Odrze i Nysie. Stały tam obie armie polskie — 1 i 2, wsparte przez korpus pancerny i lotnictwo, ogółem przeszło 180 tys. ludzi. Oznaczało to fakt zajęcia przez żołnierza polskiego 500-kilometrowego Wybrzeża, zabezpieczającego Polsce niezbędny dostęp do morza.

Na polach bitew Pomorza Zachodniego poległo w walce i zostało rannych ponad 20 tys. żołnierzy i oficerów WP; żołnierze 1. AWP zapisali jedną z najpiękniejszych kart w dziejach zbrojnego wysiłku narodu. Należy podkreślić szczególnie mocno, iż w walkach nad Odrą w rejonie Sławkowa zginęło ponad 2 tys. żołnierzy i oficerów WP (w tym bardzo dużo ochotników) i tamże przy szosie, u podnóża leśnych wzgórz, spoczywają wszyscy na cmentarzu wojkowym. Przywoździ na myśl to miejsce inny cmentarz, ten spode Monte Cassino i budzi nieustannie wzruszenie oraz chęć stałego przypomnienia o nim społeczeństwu. Przejrzysty symbol i alegoria macierzy — ojczyzny, płaczącej nad poległymi synami, zamknięty został w kształcie pomnika-kobietki tulącej w ramionach swoje dziecko. Wokół grobów: kwater mogli pojedynczych i zbiorowych, oznaczonych imiennymi i nieznanymi bohaterów rosną ozdobne krzewy, nad którymi dominują smutne cyprysy, a wśród nich, na miejscu najbardziej eksponowanym, jest umocowana marmurowa tablica z cytatem z rozkazu Naczelnego Dowództwa nr 88, wydanego na dzień zakończenia wojny z 9 maja 1945 r.:

„Przesłicie wspaniałą, jedyną w naszych dziejach drogę chwale. Szlak Waszego bohaterstwa wyznaczyliście własną krwią i mogliście najlepszych wiernych do ostatka. Nie szliście szukając okólnych dróg do Polski. W Polską Ziemię wsiąkli Wasza krew ofiar, w ziemię Polski, która w tej chwili powstała, by żyć”.

Na starych kurhanach pod Cedynią i cmentarzach nad Odrą, spoczywają prawie obok siebie woje Mieszka I, Bolesława Chrobrego i 2. AWP, którzy zwalczali odwieczne teutońskie „Drang nach Osten”. Na skrawku ziemi, najbardziej wysuniętym na zachód — drzemie także 10 wieków historii, której nie trudno tu właśnie udowodnić polskość owych ziem i cenę, jaką przyszło za nią płacić.

Rzadko zdarza się artystka obdarzona takim wewnętrznym urokiem i otoczona tak wielką i powszechną sympatią, jak Elżbieta Barszczewska. I to nie dlatego, że ma twarz rafaellowskiej maddonny, że nie ma w niej nic ze szlachności i pozy, tak często spotykanej u gwiazd pierwszorzędnej wielkości. Bo taką gwiazdą jest niewątpliwie Barszczewska.

Była zawsze i jest związana z Warszawą. Starsi widzowie pamiętają ją ze znakomitych kreacji przedwojennych („Tessa” Girardou, Ofelia w „Hamlecie”, „Mała Dorrit”) teatralnych i filmowych. Młodszym utkwiły w pamięci świetne role — Elektry, Lilli Wenedy, Amelii w „Mazepie” Słowackiego, buntowniczej mniszki w „Port Royalu”, Salomei w „Horsztynskim”, Ibsenowskiej Nory.

Elżbieta Barszczewska złożyła wizytę w jej mieszkaniu. Duży pokój zastawiony empirowymi meblami, wygodne fotele, tytułowe firanki, na jasnej sekretarce fotografie kobiety w gładkiej sukni i staromodnym uciesaniu oraz mężczyzny, w którym zaraz odgadłam ojca pani Elżbiety.

Podobno mieszkanie powie najwięcej o właścicielach, o ich trybie życia, zamiłowaniu, usposobieniu. W tym dziwnie przytulnym pokoju, wśród pozornego beztadu mebli nie ma nic przypadkowego. Wszystko tu mówi o wielkim pietyzmie dla przeszłości, o tym, że ludzie żyją tu dla siebie, nie lubią blichtru ni poży.

Elżbieta Barszczewska mówi o swoim dzieciństwie, szkole, teatralnym debiucie. Pokazuje mi fotografie rodziców. Ojca straciła bardzo wcześnie. Wychowywała ją matka. Pisała o niej w swych wspomnieniach z dzieciństwa Maria Dąbrowska, która jest stryjeczną siostrą matki Elżbiety. Potem już była szkoła Konopnickiej i znakomity historyk literatury, prof. Leon Płoszewski, który pierwszy odkrył talent aktorski w młodziutkiej maturzystce z jasnymi uarkocami. Zegnając ją, powiedział: „Ujrzymy już panią niedługo na scenie w dramatach Słowackiego”. Na studia aktorskie włączyła się nie wybierając. Chciała pójść do Szkoły Nauk Politycznych, odwiedziła ją od tego Maria Kaniewska, dzisiejszy reżyser, a wtedy studentka drugiego czy może już nawet trzeciego roku szkoły aktorskiej. Lata studiów zawsze wspomina się najmilej. Tyle jest wtedy marzeń, tyle nigdy niezrealizowanych w życiu pragnień. Po występie dyplomowym otrzymała kilka propozycji engagement. Wybrała Teatr Polski. I od tam przez wiele lat występowała na jego scenie. Teraz gra w Narodowym.

Rozmowy z aktorami

ELŻBIETA BARSZCZEWSKA

Która z ról lubi najbardziej? Nie potrafi na to pytanie odpowiedzieć. Lubiła bardzo Tessę. Występowała w niej chyba ze trzydziestu razy. Sztuka cieszyła się ogromnym powodzeniem. Wtedy teatry miały wspólną dyрекcję, przetrzymywano więc przedstawienie z Polskiego do Narodowego i Nowego. Ze wzruszeniem wspomina też pani Elżbieta rolę Ofelii, którą grała zresztą dwukrotnie z Aleksandrem Węgielką i już po wojnie — z własnym mężem, Marianem Wyrzykowskiem, podobnie wspomina i postać Salomei w Horsztynskim. Partnerami jej byli: Ludwik Solski, Karol Adwentowicz...

Czy lubi występować z własnym mężem? Chyba tak. Rozumieją się doskonale, mają zbliżony pogląd na koncepcję sztuki i postaci, które przyszło im odtwarzać. Czy miałaby ochotę sama reżyserować? Czasami, ale to przecież olbrzymia odpowiedzialność — już nie tylko za siebie, ale za cały zespół. To bardzo męczące, o wiele bardziej niż własne występy, chociaż i one szalenie wyczerpują. Trema? Och tak, zwłaszcza przed każdą premierą. Potem aktor już bywa spokojniejszy, poznaje reakcje publiczności. Być może, dlatego zdarzają się premiery gorsze niż następne przedstawienia. Mówi się wtedy, że aktorzy się już rozegrali.

Salomea z „Horsztynskiego”, „Nora”, zbuntowana zakonnica z „Port Royalu”, Helena z „Mostu”, Amelia z „Mazepy”, Elektra i wreszcie ostatnio — Podstolina w „Fircyku w załotach” — świetne role w repertuarze klasycznym, romantycznym i mieszczańskim to chyba wszystko, o czym może marzyć każda aktorka. Elżbieta Barszczewska ma je poza sobą, mówi jednak ze smutkiem, że tych, o których myślała kiedyś, nie grała, a czy zagra...

Pytam o najbliższe plany. Próbuje teraz z Władysławem Hańcą adaptację „Listów Sobieskiego do Marysieńki”. Obsada jest tylko dwuosobowa, premiera chyba odbędzie się w maju. Postać królowej, osoby niezmiernie ambitnej, łasej na zaszczyty, lecz rzeczowej i mądrej, prowadzącej własną politykę u boku swego wielkiego małżonka, przy tym po kobiecemu sprytną — to, oczywiście, interesująca rola dla każdej aktorki.

Na zakończenie pytam o telewizję. Znakomitą aktorkę widzieliśmy tylko raz w specjalnym programie, składającym się z kilku fragmentów sztuk, w których grała ostatnio. To było zresztą kilka lat temu. Na tym jednak kontakt z TV się skończył. Dlaczego?

Okazuje się, że pani Barszczewska nie lubi pracować mając przed sobą kamerę. Być może dlatego tak niechętnie występowała w filmach, choć przecież pamiętamy tyle jej ról... „Dzieuczęta z Nowolipki”, „Znachor”, „Profesor Wilczur”, „Trzy serca”, „Granica”, „Kościuszkę pod Racławicami” — filmy o bardzo różnych poziomach przyciągały jednak ludzi, bawiły i wzruszały tak jak wzrusza i dziś każdego, gdziekolwiek się ukaże, na dużej czy małej scenie, piękna pani Elżbieta. DANUTA RUDZKA

Ekspozat do monografii o poczcie polskiej w Przemysłu

Z ujawnionych dotychczas publikacji o poczcie polskiej wiadomo, że do przewożenia, roznoszenia korespondencji, używali władcy polscy specjalnych posłańców. Funkcje te spełniali synowie szlachty przebywający na dworach, których to posłańców nazywano komornikami. Gdy nie było jeszcze zorganizowanej poczty, posłańcy przekazywali ważne polecenia i wiadomości w kraju, korzystając z koni i podwózków wyznaczonych od miejscowej ludności. Jak opisuje Kadłubek, ciężary tych podwózków rujnowały gospodarke chłopską. M. in. obok miast królewskich, obowiązek taki obciążał miasto Przemysłu.

Z końca XVII w. pochodzi srebrna „Oznaka posłańca poczty przemyskiej”, znaleziona niedawno w okolicy zamku przemyskiego, nigdzie dotychczas nie ujawniona w zbiorach czy publikacjach naukowo-etnograficznych.

Oznaka ta, ma wymiary 6x4 cm, jest wykonana z blachy srebrnej, posiada wyłoczone ornamenty wokół fragmentu „trąbki pocztowej”, w któ-

rej otoku znajduje się (nieco nadgryziony działaniem ziemi) znak przedstawiający części rzymsznku bojowego.

Do przypinania na kurcie (bluzie posłańca) służyła klamra na odwrotnej stronie odznaki, po którym to znaku rozpoznawano posłańca, udostępniając w/w potrzebne świadectwa i nabyte prawem wygody (podwody).

Posłańcy ziemii przemyskiej nosili strój złożony z bufiastych, krótkich spodni, wygodne buty z krótkimi, miękkimi cholewkami, saflanowy surdut, kapelusz z piórkami, oręż w postaci karabeli i włóczni oraz luźną kurtkę, z przypiętą odznaką posłańczą i torbę na korespondencję z w/w odznaką.

Oznaka ta będąca w naszym posiadaniu znajduje miejsce w Muzeum Łączności we Wrocławiu, jako nowy cenny nabytek muzealnictwa łącznościowców. Przyczyni się ona do wzrostu zainteresowania znalazzkami tego rodzaju przez społeczeństwo, dla udostępnienia wszelkich takich pamiątek celom ogólnym.

STANISŁAW WOLSKI



Kemping w Dubiecku.

Fot. Z. POSTĘPSKI

na wprost Bez akceptacji

Przypomina coś ten tytuł? Naturalnie — sparafrazowałam nazwę świetnej audycji telewizyjnej, na którą zawsze czekam z dużym zainteresowaniem, która jest szkołą obiektywizmu, usiłującą nawet najbardziej dramatyczne przypadki wyprać z własnych sądów, uprzedzeń czy sympatii.

Znakomicie pamiętam pasjonującą sprawę domu bez okna, czy tę poparzoną w pracy kobietę, czy wczesniejszą, kiedy audycja nosiła jeszcze świetny tytuł „Wszyscy jesteście sędziami” — ów proces nad kierowcą, który przejechał dziecko. To na pewno były tematy, gdzie społeczeństwo miało wiele do powiedzenia i owo pół-prywatne sądownictwo bez wyroku było jego zdrowym głosem, który bez pomocy audycji nie miałby gdzie i kiedy ujawnić się. Oczywiście, że głosy oprócz zdrowego rozsądku i dużego poczucia odpowiedzialności, zawierały wiele subiektywnych podnieceń, dziwnych przekonań, często oryginalnych (mam tu na myśli — niewykonalnych) rozwiązań — w sumie jednakże takie sprawy były wyszukiwane do publicznego roztrząsania, że nie mogły pozostawić widza obojętnym.

Na pewno inaczej wygląda sytuacja, kiedy dwaj telewizyjni reporterzy Wójcik i Ambroziewicz, zaczynają opowieść o losach bliźniąt z Łądką. Kolejność wzruszeń przy oglądaniu ostatniego programu „Bez apelacji” układała się mniej bliźniat tak, że najpierw dominowało zaciekawienie, fascynacja nietypową sytuacją, współczucie, zawstydzenie, zażenowanie; protest zaś zakończył stany wymienionych afektów. Protest był — najwyżej — nie przeciw audycji, ale przeciw tematowi.

Wstydyliwy, intymny temat jak żer rzucono widzom, dyskutując tak, że dyskusja podniecała, a przyświecało rozstrzygnięcia żadnego nie mogła i wpe wtorkowej audycji zresztą nie przyniosła.

Stan faktyczny, który i ja muszę przedstawić, wyglądał tak, że dwoje bliźniat siedmioletnich próbuje odebrać rodzona matka od ludzi, którym powierzyła ich wychowanie. Ludzie się przywiązali, byli bezdenni, matka tymczasem szukała stabilizacji życiowej, osiągnęła ją i z tego powodu od roku uwalczył o wydanie dzieci, które urodziła będąc młodą dziewczyną, pochodząc z wiejskiego środowiska, niezamężną. Faktem jest bezspornym, że w międzyczasie żożyła na ich wychowanie, jej ojciec pomagał tymczasowym opiekunom, a ci z każdym rokiem bardziej kochali chłopców, traktując ich jak swoje dzieci i próbując jednocześnie obryzwać matkę, zohydzić jej dotychczasowe postępowanie wobec nich. Sąd rozstrząsnął spór na korzyść matki; dzieci nie chciały porzucić opiekunów. Opiekunowie w prostej konsekwencji złożyli wniosek do sądu o ograniczenie władzy rodzicielskiej matki. W tym stadium rozognienia w sprawę wkroczyli reporterzy telewizyjni. I przeciw temu głośno protestując.

Nie interesują mnie intencje reporterów i telewizyjnego sądu; one nie mają tu żadnego znaczenia — widzę temat bolesny, w którym ludzkie afekty doszły do głosu w formie ostatecznej, tak intensywnej, że nawet część miasteczka zrobiła sobie sport ze sprawy, sport pod tytułem „kto wygra”. Nic to, że telewizyjni twórcy audycji usiłują mówić o sprawie beznamiętnie, usiłują wyjaśnić przy okazji prawne pojęcie adopcji; plik listów od czytelników jest w dalszym ciągu pasmem namiętnych za i przeciw, choć znowu, jak zwykle, są głosy zrównoważone, mądre doświadczeniem, łagodzące sprawę.

I znowu można by przypomnieć wszystkie te ludzkie dramaty, gdzie tolerancja zniknęła z życia, gdzie sąsiad był arbitrem nieugiętym, szermując własnym przekonaniem i racją, przejęty w i a s n y m zaangażowaniem.

Abstrahuję od meritum sporu; nieważne to, jakie jest moje zdanie, choć jak wszyscy śmiertelni mieć je muszę i mam. Nie wierzę w metodę mniej lub bardziej łagodnej perswazyj po f a k c i e, ponieważ przestaje z chwilą jego dokonania być profilaktyką. Zresztą samo rozstrzygnięcie sporu, które musiało przyjąć właśnie formę obojętnej ugody, że dzieci pozostaną u opiekunów na razie, spędzając z matką dużo czasu, całe wakacje, po prostu ucząc się od nowa stosunków rodzinnych — wydaje się najwłaściwsze. Czy w praktyce wykonalne, to już dalsza kwestia i tu przyznam się szczerze do zwątpienia na wyrost. Nie wierzę w tę ugody. Nie wierzę dlatego, że zbyt dużo słów padło niepotrzebnych, zbyt silnie rozdrapywano ludzkie uczucia, a pamięć jest szkodliwym mediatorem. Dlatego nie wierzę w ugody nawet zawierane pod presją ludzi bardzo mądrych i bardzo życzliwych; pod presją społeczną. Oczywiście, si f a t a s i n a n t, nie będę miała racji. Ale f a t a s i z o s t a t e, a m o j e d o s w i a d c z e n i e n i e t a k m a l e!

Pozostał tylko jeden problem — właśnie ten rzeczywisty, który skłonił mnie do protestu przeciw tematowi audycji: d z i e c i. To był spór o dzieci, ale w tym sporze decydowały tylko namiętności dorosłych; to był przetarg o dzieci, kosztem ich spokoju. Chodzą sobie w tej chwili po pięknym Łądku-Zdroju, oglądane jak zamorskie dzwina, poklepywane, zaczepiane, wszystkowiedzące. Nie oszczędzono im nawet historii z nieślubnym ojcem, który jako temat — efemeryda przemknął po szklanym ekranie, by już nigdy nie dojsz do głosu. Opowiedziano im z detalami historię wyrodnej rzekomo matki, widzieli tę matkę spłoszoną atakami, bezradnie wyjaśniającą swoją sytuację, matkę odartą z a u t o r y t e t u i m i ł o s c i. D z i s k a ż a i m j a k o c h a c, n a w i a z a c d o b r e, s e r d e c z n e p o z y c i e... A t o d r u g a, p r z y b r a n a m a t k a, ś l e p a z a k o c h a n a, c o j a k w s a l o m o n o w e j p r z y p o w i a s t e w o l a t a z a b r a c s p o k ó j i h a r m o n i e d z i e c i n s t w a s k r ó c i c, b y s w o j e w i e l k i e p r z y w i a z a n i e u r a t o w a c. Z a i s t e, w b i b l i j n y s t y l s i e w p a d a, b o t e ż a n a l o g i e w i o d a d o t e j p o ł o w i c i d z i e c i a, k t ó r a z a w s z e l k a c e n ę c h c i a ł a z a c h o w a c b i b l i j n a o p i e k u n k a.

Zal mi było bohaterów audycji. Zal dzieci. Zal wreszcie dziewczynki, co z podobnej sytuacji, choć ani przecież w połowie tak rozdmuchanej i publicznej jak obecna, wyszła z wadą serca i napisała list o swoim doświadczeniu do sądu telewizyjnego.

Mam prawo nienawidzić sensacji kosztem nieletnich!

Pani Ewa Mędrzycka — doświadczonego sędziego, pięknie zwróciła uwagę na nowy przepis o anonimowej adopcji, humanitarny, oszczędzający późniejszych wstrząsów dzieciom. Sama brała udział w sądzie telewizyjnym, który oglądały miliony widzów i w którym anonimowość nie miała żadnego zastosowania, w którym mówiło się bez rumieńca o uczuciach najintymniejszych, w którym z trudem ukryć się dało sensację i rozgorączkowanie.

I zakończono tę sprawę bez apelacji wziętą do publicznego roztrząsania apelem o zaprzestanie roztrząsania, o wygaszenie namiętności, nieledwie o zapomnienie o niej.

Teraz?

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA



Lubomir Ramocki — kierownik Domu Kultury KW MO w Rzeszowie.

Rys. JERZY SIENKIEWICZ

Problemy czytelnicze uczniów szkół średnich

W ostatnich latach daje się zauważyć w naszym kraju zwiększone zainteresowanie czytelnictwem młodzieży ze strony zarówno organizatorów tego czytelnictwa, nauczycieli i bibliotekarzy, jak i pracowników nauki. Wyrazem tego między innymi są ukazujące się na ten temat coraz liczniejsze publikacje i artykuły.

Najświeższą publikacją z tej dziedziny, która znalazła się w ostatnich dniach na półkach księgarskich naszego województwa i winna zainteresować nauczycieli szkół średnich ogólnokształcących, zawodowych i rodziców uczniów tych szkół jest książka Ireny Lepalczyk pt. „Problemy czytelnicze uczniów szkół średnich”. Książka ta, jako wynik żmudnych badań daje obraz czytelnictwa młodzieży szkół średnich ogólnokształcących i zawodowych. Składa się ona z 6 rozdziałów. W pierwszym autorka snuje rozważania wstępne na temat czytelnictwa młodzieży i jego badań. Ukazuje ona czytelnikowi w tym rozdziale problematykę i metody badań, charakteryzuje zebrane materiały i podaje ogólną charakterystykę badanej zbiorowości, którą stanowili uczniowie i uczennice liceów ogólnokształcących i szkół zawodowych. Dużo interesujących uwag wypowiada ona na temat zagadnienia dostępu badanych do książek, a więc źródeł, z których młodzież czerpała książki.

Drugi rozdział książki Lepalczyk, zatytułowany „Książka w rękę młodego czytelnika”, ukazuje rolę książki w życiu ucznia szkoły średniej, motyw jej czytania, dobór i sposób czytania, zainteresowania czytelnicze młodzieży w wieku 15—21 lat i ich kierunki. Rozdział ten zamyka ukazana w sposób wyczerpujący tematyka, jaką interesuje się młodociany czytelnik oraz

obszerne uwagi na temat, co młodzież czyta i lubi czytać.

Na trzeci rozdział książki złożyły się uwagi autorki na temat programu szkolnego, lektury szkolnej i pozaszkolnej, stosunku do niej młodzieży. Uważny czytelnik tego rozdziału z łatwością dostrzeże, co dla młodzieży jest w jej opinii dobre i bliskie, co „nudne” i „trudne” i z czego to wynika. Zamieszczone w tym rozdziale uwagi dają nauczycielowi wiele materiału do przemyśleń i usprawnienia pracy od strony metodycznej.

Rola bohatera książki w recepcji utworu przez młodzież — to temat czwartego rozdziału książki, zatytułowanego „Bohater utworu literackiego”.

Stojąc na stanowisku, że reakcja czytelnika na treść czytanych książek charakteryzuje jego postawę, pozwala poznać mniej lub bardziej dokładnie jego zainteresowania, potrzeby, pragnienia, marzenia, plany i poglądy, autorka książki poświęca temu zagadnieniu następny rozdział zatytułowany „Młodzież o sobie i innych”.

Ostatni rozdział książki zawiera uwagi i wnioski, jakie nasuwają się autorce na temat czytelnictwa młodzieży.

Przypisy i tablice, zawierające zestawienia na temat książek ulubionych, własnych, zainteresowań czytelniczych, zamykają tę ciekawą i godną uwagi książkę.

Książka „Problemy czytelnicze uczniów szkół średnich” winna znaleźć się w rękach tych, którzy interesują się czytelnictwem młodzieży, w pierwszym rzędzie w rękach nauczycieli i bibliotekarzy. Z dużą korzyścią dla siebie może ją przeczytać także niejeden ojciec lub matka ucznia szkoły średniej ogólnokształcącej lub zawodowej.

FRANCISZEK ŚWIDER

W serii regionalnych wydawnictw albumowych WAG-u z terenu Rzeszowszczyzny, po „Ziemni przemyskiej” i „Ziemni krośnieńskiej” ukazał się niedawno album „Rzeszów”. Jak wszystkie dotąd i ten składa się z części informacyjno-opisowej i z części ilustracyjnej, którą stanowi zbiór fotografii, usiłujących oddać pełny obraz życia Rzeszowa. Część pierwsza zawiera interesujący, z gruntowną wiedzą i głębokim sentymentem napisany szkic historyczny Adama Przybosia „Dzieje miasta Rzeszowa” (do roku 1918) oraz pracę sekretarza KM PZPR w Rzeszowie — Piotra Bika „Zdobycze i perspektywy Rzeszowa”. Część albumowa grupuje fotografie w pewne cykle tematyczne, jak np.: „Dokumenty przeszłości”, „Z wędrówek po starym i nowym Rzeszowie”, „Życie gospodarcze”, „Nauka i urządzenie społeczne”, „Życie kulturalne i sportowe” itd.

Odczuwa się wyraźny brak w pierwszej części albumu odrębnego szkicu informacyjnego o walorach turystycznych miasta, o jego zabytkach historycznych i osobliwościach — szkoda również, że nie przemysłano o włączeniu do wydawnictwa szczegółowego planu miasta. Wy-

„Rzeszów”

dawca powinien przewidzieć, że album stanie się również źródłem wiedzy o Rzeszowie i przewodnikiem dla wielkiej rzeszy turystów, udających się stąd w Bieszczady oraz będzie służyć wielu gościom zagranicznym, których nie brak u nas w sezonie urlopowym.

Dotychczas bowiem nie ukazał się jeszcze żaden przewodnik czy informator ściśle turystyczny po Rzeszowie.

Niedowład informacji w tym zakresie zastąpiono bardzo dokładnymi wiadomościami o rozwoju gospodarczym i urbanistycznym miasta.

Odnosi się nawet wrażenie, że stało się to ze szkoda dla czytelności i przejrzystości szkicu o perspektywach Rzeszowa. Należałoby potraktować to zagadnienie bardziej syntetycznie, ograniczając nieco ilość danych liczbowych. To bowiem co może zainteresować mieszkańca Rzeszowa, znuży innych czytelników.

Spore zastrzeżenia budzi część ilustracyjna wydawnictwa i to zarówno ze względu na dobór i jakość zdjęć, jak

zdarzenia tygodnia

Państwowy Teatr im. W. Siemaszkowej w Rzeszowie rozpoczął w dniu 7 bm. nowy sezon teatralny. Po wakacyjnej przerwie wystawiono w tym dniu sztukę Krzysztofa Chojńskiego pt. „Nozna opowieść”.

Równocześnie rozpoczyna działalność zespół objazdowy teatru, który będzie wystawiał w terenie „Ośiem kobiet” Roberta Thomasa.

5 bm. wyjechała do miejscowości Zarzecze w pow. przeworskim, 30-osobowa grupa pracowników Muzeum Okręgowego w Rzeszowie, pracowników naukowych i studentów wyższych lat Uniwersytetu Warszawskiego celem przeprowadzenia badań etnograficznych.

Muzeum rzeszowskie co roku przeprowadza tego rodzaju akcje, mające na celu dokładne poznanie poszczególnych regionów i wsi poprzez bezpośredni kontakt. Badania te mają charakter stacjonarny i prowadzone są przez kilkanaście dni.

Organizatorem i kierownikiem obozu etnograficznego w Zarzeczu jest doc. Franciszek Kotula, kierownik działu etnograficznego Muzeum w Rzeszowie.

Ostatnio komisja kultury i oświaty Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych w Rzeszowie podsumowała wyniki konkursu dla bibliotek związkowych, mającego na celu popularyzację czytelnictwa wśród związkowców, ogłoszonego na okres roczny w maju ubr. Konkurs był ogłoszony z okazji 20-lecia PRL i IV Zjazdu PZPR.

W okresie trwania konkursu przybyło 140 nowych punktów bibliotecznych, stan księgozbioru wzrósł z 329.008 woluminów do 372.998, przybyło 7.649 nowych czytelników (wzrost 20 proc.), liczba wypożyczeń wzrosła z 672.641 do 762.089.

W konkursie I miejsce zajął Zarząd Okręgu Zw. Zaw. Metalowców, II Górników, III Chemików, a wyróżniono Spożywców, Kolejarzy, Rolników i Energetyków.

Nagrodzono również biblioteki: I miejsce WSK w Dębicy, II Zakładów Chemicznych w Sarny i III Zakładu Eksploatacji Kop. Naftowego w Sanoku.

Z udziałem przedstawicieli placówek i instytucji kulturalno-oświatowych odbyło się posiedzenie komisji kulturalno-oświatowej Zarządu Okręgu Zw. Zaw. Pracowników Rolnych, na którym ustalono termin i program III Wojewódzkiego Przeglądu Zespołów Artystycznych tego związku. Przegląd odbędzie się w dniach 21 i 22 sierpnia w Ośrodku Socjalnym PGR w Zalużu, pow. Sanok. Komisja zakwalifikowała do przeglądu 13 zespołów artystycznych (teatralne, zespoły dziecięce, kapela ludowe i orkiestry przyzakładowe).

W miejscowości Wolica Piaskowa pow. ropczycki przekazano do użytku, wzniesiony w czynnie społecznym Dom Ludowy.

Nowy ośrodek pracy kulturalno-oświatowej w powiecie ropczyckim nazwano imieniem Wilhelma Macha, który jak wiadomo, pochodził ze wsi Kamionka w tym powiecie.

Pierwszy numer „Przeglądu Lubelskiego”

Nakładem Wydawnictwa Lubelskiego ukazał się pierwszy numer „Przeglądu Lubelskiego”, który ma charakter periodyka i ukazywać się będzie raz na rok. Rocznik podzielony został na kilka działów tematycznych obejmujących m. in. materiały dokumentalne, sylwetki zasłużonych ludzi Lubelszczyzny, recenzje i sprawozdania, bibliografię regionalną.

W pierwszym zeszyte rocznika ukazały się m. in. pozycje mówiące o Lublinie w okresie ostatniego 20-lecia, o powstaniu konspiracyjnego WRN na Lubelszczyźnie, o „genezie”, realiach i ideologii „Róży” Żeromskiego. Ta ostatnia pozycja związana jest z setną rocznicą urodzin autora „Popiółów”, który wiele chwil swego życia spędził na gościnnej ziemi lubelskiej. Znajdujemy też „Biografię Leśmiana notariusza”.